

# Pewnego dnia...



WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

## Pewnego dnia...

### I

Pewnego dnia... o świcie, o majowym wczesnym świcie, w małym domku, przypartym do ziemi pokrzywionymi ścianami, otwarło się okienko i w obramieniu<sup>1</sup> fuksji<sup>2</sup> rozkwitłych zamajaczyła siwa głowa i zaszemrał cichy, monotony głos.

Pan Pliszka odmawiał pacierze poranne.

Miasto spało jeszcze.

Senne i ciężkie mroki przygniatały świat ciszą, tą dziwną, roz tęsknioną, łzawą ciszą świtania...

Domy, fabryki, ogrody — kłębowiskami ciał bezwładnych i nieprzytomnych majaczyły w mrokach; tylko gdzieś na dachach, w oślepiłych oknach, na czubach drzew ślizgały się brzaski zórz, jakby uśmiechy śniących, jakby spojrzenia zamglone marzeniem, jakby rumieniec trwogi przed dniem, który się już czołgał w przestrzeniach, już się chwiał na krawędziach nocy i zielonymi oczami troski obejmował ziemię...

Cicho było.

Modlitwy pana Pliszki szemrały jak młode liście brzoź, a z domów zgubionych w ciemnościach, z rynien niewidzialnych opadały ciężkie krople rosy i były w dach domku; były monotony, bezustannie... usypiająco...

Pan Pliszka kończył pacierze i mocno bił się w piersi.

— Kruczek!

Pies cicho przybiegł z głębi ciemnej izby i wskoczył na parapet okna.

— Klękaj, durniu! Służ! Patrz tam! Tam jest, durniu, Pan twojego pana, rozumiesz?

Kruczek zawarczał, usiadł na ogonie, oparł się grzbietem o fuksje i bezmyślnie patrzył w ciemność.

— Nie oszukuj Pana Boga! Mądrała, będzie się podpierał!

Ale Kruczek już nie słuchał pana Pliszki, zeskoczył na podwórze i szczekał pod bramą.

— Ciemnym i głupim zwierzęciem tylko zostaniesz! — mruknął z goryczą, wynosząc zegarek do okna.

Zdumiał się, bo była dopiero czwarta; nigdy się tak wcześniej nie budził.

— Chory jestem czy co?... Półtorej godziny do fabryki!

Położył się cicho na łóżko, aby nikogo nie budzić, i leżał dosyć długo; z drugiej izby rozlegało się donośne chrapanie kilku śpiących, a od trzeciej, małej, dochodził częsty kaszel...

— Buty ma dziurawe i kaszle! — pomyślał i wstał, bo świt już zaglądał w okno i rozbielał wnętrze izdebki.

A w przestrzeniach wrzał cichy, a śmiertelny bój z dniem zwycięskim. Pan Pliszka siedział w oknie i machinalnie przesuwiał ziarna różańca, machinalnie powtarzał pacierz i nad słuchiwał...

Jaskółki zaczęły słodko szczebiotać nad oknem, jakby modlitwę do zórz coraz jaśniejszych i do dnia...

Religia

<sup>1</sup>obramienie — oprawa otaczająca otwór. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>fuksja — roślina o zwisających kwiatach, najczęściej czerwonych lub fioletowych, pochodząca z Ameryki Śr. i Płd. [przypis edytorski]

Ziemia jakby się przeżyła ze snu, a sadzawki fabryczne, niby oczy pokryte pasmami mglistych biel<sup>3</sup>, otwierały powieki zmroków i patrzyły sennie poprzez rzęsy topoli pochylonych nad nimi.

Czerwone mury fabryk ociekały rosą i drgały w brzaskach jakby dreszczem przebudzenia. Długie szyje kominów fabrycznych, niby żurawie czuwające nad stadem dachów, wyciągały w blaskach świtania dzioby czerwone i piły światło...

A długie, błotniste drogi, ścieżki, rowy, szyny kolejowe, strugi wody, ulice czarne jeszcze — pod mgłami oddechów prostowały zmęczone, przepracowane ciała, przeciągały się sennie i zapadały w ciężkie, odrętwiające marzenie o długim odpocznieniu, o śnie długim... długim...

I pan Pliszka marzył; przesuwiał różaniec, szeptał modlitwy, błędził oczami po konturach domów — ale nic nie widział, zatopiony w sobie, w jakiejś ciężkiej mgłę myśli, w tumanie uczuć rozpieczętych, w chaosie dziwnych drgnień duszy, dziwnych błysków, przeczuć, słów, obrazów a niepokoju... Klębiło się w nim i rozrastało coś, czego zupełnie nie rozumiał. Czuł tylko, że przenika go głucha tęsknota — ale za czym?... Nie wiedział, jak nie wiedział nawet nazwy tego uczucia, które mu serce rozprężyło...

Drzewa w pewne dni marcowe, w straszne dni słoty i zimna, i wichrów, tak samo tęsknią — ale drzewa tęsknią do wiosny i słońca, a ludzie? Ludzie, jak drzewa wiecznie konające, za tym, co było... tęsknią i płaczą...

Pan Pliszka ocknął się, bo w mgłę szarości zapelniającej podwórze rozległ się ostry, długi, monotony skrzyp.

— Antoni! — pomyślał.

Tak, to był Antoni, stary robotnik, któremu kiedyś wybuch kotła wyparzył oczy, a który teraz pompował wodę na piętra, ciągnął ją kołem ogromnym. Widać go było w brzasku świtania, jakby poza szybą zmatowaną, pochylał się automatycznie, równo, jednakowo, niby wierne ludzkie wahadło...

A koło skrzypiało przeciągle, jęcząco, krzykiem spracowanego żelaza... A Kruczek namiętnie szczekał na starego kundla, który przyprowadzał ślepca do roboty.

Pan Pliszka nie mógł się dzisiaj doczekać gwizdawki<sup>4</sup>.

Poszedł do kuchenki i po cichu rozpałał ogień na kominku.

— Czy to już czas? — zapytał głos z kąta przysłoniętego parawanem.

— Jeszcze, cichocie<sup>5</sup>, pani, bo się chłopiec obudzi...

Poszedł do drugiego kąta, gdzie stał drugi parawan; tam spał chłopiec, na stoliku było pełno porozrzuconych książek i kajetów<sup>6</sup>, tornister leżał na ziemi, a mundur pod stołem...

Pan Pliszka posprzątał wszystko i poskładał, popatrzył na czerwoną, śpiącą twarz chłopca, uśmiechnął się dziwnie i zabrawszy jego buty, poszedł je czyścić. Na dworze przed domem je czyścił, żeby nie zbudzić nikogo. Buty były mizerne, smutne buty sztabaka<sup>7</sup>, pełne ran, szwów i łat — liryczne buty nędzy, bez podeszew, wierzchów, obcasów, a z dumnie sterczącymi jedynie całymi uszami. Pan Pliszka je reparaował<sup>8</sup> i czyścił z miłością prawdziwą, z tym swoim dziwnym, pełnym słodczy uśmiechem starego psa.

Dzień już szedł wielkimi krokami, bo już okna na czwartych piętrach były różowe, na trzecich białe, na drugich szare jakby z mgły lodowatej, a na pierwszych połyskiwały twardym, zimnym blaskiem polerowanego bazaltu.

— Trzeba mu kupić buty — pomyślał i drgnął gwałtownie, bo ochryply, przeraźliwy głos gwizdawki fabrycznej rozdarł ciszę.

W izbie powstał gwałtowny ruch wstawania; cztery postaci zamajaczyły na tapczanach i pośpiesznie szykowały się do roboty.

— Coś mi jest! — pomyślał pan Pliszka i przyśpieszył kroku, bo już z kotłowni buchały czerwone płomienie ognisk, a szyby błyskały w dolnych salach fabryki.

<sup>3</sup>bielmo — zmętnienie rogówki w oku. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>gwizdawka — urządzenie sygnalizacyjne połączone z maszyną parową, daw. używane w fabrykach i parowozach. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>cichocie (gw.) — bądźcie cicho. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>sztabak (daw.) — uczeń. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>reparować (daw., gw.) — reperować. [przypis edytorski]

Stanął na codziennym posterunku przy windzie, pochwycił drucianą linkę i czekał na sygnały.

Salę były jeszcze ciche, zmroczone, zalane na dole elektrycznym światłem, a w wyższych piętrach przesyczone mdłymi brzaskami dnia, w których majaczyły potężne korpusy maszyn, niby stado bydła potwornych, leżących bezwładnie, a przyczajonych jakby do skoku. Pasy i transmisje<sup>9</sup> zwieszały się ciężko niby żyły wyprute, niby ramiona sennie opuszczone.

Robotnicy wpadali pośpiesznie, witali się skinieniem, oglądali tępo po salach i przywierali do maszyn cicho i pokornie, z jakąś uległością bojaźliwą. Nie dokończone w drodze pacierze brzmiały gdzieś w powietrzu wśród żelaznych szkieletów maszyn; gdzieś rozmowa, czasem trwoźny głos zabrzmiał głośniejszy, ale przycichał natychmiast, tylko zmęczone spojrzenia biegały ku oknom, poza którymi stały zielone drzewa, ku polom, jakie widać było pokryte młodą runią<sup>10</sup> zbóż, ku lasom dalekim, dalekim... ku słońcu, ciepłu, powietrzu, swobodzie...

Naraz ryknął sygnał roboty!

Ludzie się wyprostowali automatycznie, maszyny drgnęły, strumień strasznej siły rozlał się wskroś fabryki... Pasy się skurczyły i naprężyły... dreszcz wstrząsnął zębatymi kołami maszyn... zadygotały żelazne bestie, zatrzęsły się ściany, pochyłili się ludzie. Ruch pierwszy... jakby pod uderzeniem huraganu... mgnienie wahania... cichy jęk oporu... stłumiony oddech maszyn i ludzi... przyduszony straszny rzęzeniem wysiłku... Zmagania się sił... głuchy, śmiertelny bój... a potem nagły, ogromny, wstrząsający murami krzyk maszyn zwyciężonych i puszczonego w ruch.

— Winda! czwarte! — huczał głos ponurym echem w głębokiej, ciemnej studni czteropiętrowej, w której pracował pan Pliszka ze swoją windą.

Pociągnął za sznur i płynął cicho w górę, bez szelestu, jak potworny pająk po sieci rozpiętej.

— Winda, farbiarnia!

Zapadał znowu na dół, w ciemności; tylko przez czworokątne otwory w ścianach migały mu przed oczyma jak w kalejdoskopie piętra, sale, ludzie, maszyny, towary, okna. Minął suszarnię, jasną, żółtawą blaskami poranka strefę, która owiała go rozpalonym, straszliwie suchym powietrzem i głuchym, niepokojącym szumem maszyn, pokrytych w metalowe pudła; spadł przez apreturę<sup>11</sup>, przez warstwy zapachów sody, mydła szarego, rozgrzanych smarów, chlorku, wilgotnych a gorących wyziewów prasowanych materiałów i przez szary, rozlany odbłask dnia trzeciego piętra; przedzierał się przez postrzygalnię<sup>12</sup>, przez dziwny, białawy świat pyłów bawełnianych, w których połyskiwały zimno długie, poskręcane ostrza maszyn strzyżących, a ludzie majaczyli jakby w tumanie<sup>13</sup> śnieżnym, niby gorączkowa wizja rozszalałej w męce pracy fabryki.

A potem, niżej jeszcze — przez pralnię, przez gąszcz stłoczonych, rozkrzyczanych warsztatów, przez sieć pasów i transmisji, co tysiącami ramion, niby głowonogi potworne, dusiły wszystko, obejmowały sobą, gonily, chwytaly, spadały spod sufitów, rzucały się przez piętra, przez mury, przez dziedzińce i zdyszane a niezmożone rzucały się na wały, na koła, ześlizgiwały się, podnosiły, okręcały wszędzie i przeniknięte mocą straszną, rozszalała, dzikie w swej potędze — przepełniały fabrykę przyciszonym a strasznym krzykiem triumfu!

— Zaraz, odniosę tylko blaszankę i pójdę.

— To musi być ciężko Antosiovi tak się ciągle uczyć, co?

— Ciężko? Nie, nie! — odparł cicho chłopiec, zapatrzonej w płat słońca lśniącego w zbiorniku wody.

<sup>9</sup>transmisja (daw. techn.) — układ transmisji mocy, przenoszący energię silnika do napędzanych urządzeń. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>runi — zieleniejąca roślinność; wschodzące zboże. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>apretura (z fr. *apreter*: wykańczać) — wykańczanie, uszlachetnianie tkanin, m. in. przez nasycanie substancjami zmiękczającymi; tu: dział fabryki włókienniczej, w którym te czynności się wykonuje. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>postrzygalnia — dział fabryki włókienniczej, w którym wykonuje się postrzyganie (strzyżenie) tkaniny z meszku i wystających nad powierzchnię włókien. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>tuman — kłęb czegoś sypkiego (np. płatów śniegowych) lub lotnego (pary wodnej) unoszący się w powietrzu i powodujący jego nieprzejrzystość. [przypis edytorski]

— Ale! Ale! — powiedział wąpiąco pan Pliszka.

Milczeli. Antos patrzył na sadzawkę, bo słońce wlekło złote włosy po wodzie, poprzez cienie drzew stojących dookoła, a pan Pliszka patrzył na jego żółtą, mizerną twarz i oczy zaczerwienione i na jego mizerne buty, a potem westchnął ciężko i słuchał cichych rozmów robotników siedzących na cembrowinach sadzawek, grzejących się w słońcu.

— Wie pan Pliszka? Pojedziemy z mamą w Zielone Świątki na wieś.

— Na wieś! Po co? — zdziwił się ogromnie.

— Po co? Odpocząć na świeże powietrze... no...

— Cóż tam dobrego na wsi? Lepiej by Antos siedział w domu i uczył się... butów ano<sup>14</sup> szkoda.

Antos spojrział na niego gniewnie, zabrał blaszankę i poszedł.

Pan Pliszka zapalił fajeczkę i ciągnął z wolna dymek.

— Aha! Kupię mu buty, jak przyjedzie ze wsi... podarłby przez dwa dni... Cóż oni będą robić na wsi? Głupi...

Wytrząsnął śpiesznie fajkę, bo gwizdawka już wołała do roboty.

Nie myślał długo o tej wsi, bo znowu huczało pod nim i nad nim.

— Winda! Suszarnia!

— Winda! Apretura!

— Winda! Farbiarnia!

Jeździł znowu, woził, przystawał, zabierał, wyrzucał, ale jakoś tego nie spostrzegął, bo utkwilo mu w mózgu pytanie: Po co oni pojedą na wieś?

Szczerze i zupełnie tego nie rozumiał i dlatego pewnie się tak męczył.

Naraz drgnął i zwrócił uwagę na rozmowę, jaką pośpiesznie prowadzili jego współlokatorzy; wiozł ich z dołu na czwarte, z wózkami pełnymi mokrego towaru.

— Jedziesz, Adam!

— Pojadę. Nie widziałem już ojców od kopania<sup>15</sup>.

— To w sobotę na noc, co?

— A tak, dwa dni świąt.

— Już krzyża ani rąk nie czuję od tej piekielnej roboty.

— A mnie tak jakoś w piersiach boli.

— To Zielone Świątki, co?

— Juści, nie wiesz to?

— A w tej fabryce to się już człowiekowi we łbie przewraca.

— Gdzie się wybierasz? — zapytał prędko pan Pliszka.

— Do domu na święta.

— Daleko?

— I, nie... Koleją do Łukowa, a tam będzie z milką piechotą.

— Łuków... Łuków... tam gdzie jest Szlachecka Wola!

— To w naszej parafii, o miedzę od naszej wsi...

— To wy z której wsi?

— A z Mszawy Górnej.

— A... z szosy zaraz na lewo... tak... — przypominał sobie pan Pliszka.

Wysiedli zaraz, przez dzień jeździli jeszcze po kilka razy windą, ale pan Pliszka już ich nie pytał, przypatrywał się uważnie i milczał.

— Szlachecka Wola! Moja wieś! moja!... — Połknął to nagle przypomnienie i żuł jak wędzidło, żuł i nie mógł strawić.

Uśmiechnął się pogardliwie na to przypomnienie wsi rodzinnej, cóż ona go obcho-dziła!

— Na wieś im potrzeba, chamy! — pomyślał naraz gniewnie.

Pan Pliszka był szlachcicem, takim ze Szlacheckiej Woli, na trzech zagonach i jednym krowim ogonie, ale nim był, poczuł to mocno w tej chwili, a potem wolno liczył:

— Zaraz, to już będzie trzydzieści lat... tak... trzy lata... pięć lat... a potem miasteczko Łódź i fabryka. Trzydzieści lat, no... no... tęgi<sup>16</sup> kawał czasu.

<sup>14</sup>ano (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>kopanie — wykopki, zbieranie ziemniaków. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>tęgi — tu: wielki. [przypis edytorski]

Zdziwił się, nie myślał nigdy, że to tak dawno. Obejrzał się w tył, w czas ubiegły, w długie lat trzydzieści, i patrzył trochę z niepokojem i trochę ze smutkiem. Mózg zaczął pracować, a dusza przedzierała się z trudem przez ten gąszcz lat trzydziestu; przez puste, szare, zgubione w pamięci lat trzydzieści, przekopywała się aż do tamtych czasów... do czasów młodości... do czasów dzieciństwa... pasania bydła... aż tam... na dno i początek życia.

I teraz dopiero, w tej chwili, przypomniał sobie, że miał kiedyś młodość, wieś swoją, rodzinę swoją... życie inne...

— Chamy! Po co oni jadą na wieś! — myślał z coraz większą irytacją i jak od psów złych bronił się od wspomnień, które wylażyły z ciemnych szczelin mózgu i obsiadały go coraz większą ciżbą<sup>17</sup>.

Pan Pliszka pierwszy raz od lat dwudziestu źle dzisiaj robił.

Nie słyszał sygnałów, mylił się w piętrach, a często przejeżdżał, nie zabierał niczego i ginał w przepaściach swojej studni, powstawało z tego ogólne zamieszanie, towarzyszyły się spóźniały, niektóre maszyny musiały czekać na robotę, zwróciło to uwagę powszechną.

W sobotę przy wypłacie wymówił mu to kasjer.

— Pliszka, płacicie karę za nieporządki i opóźnianie!

Pan Pliszka rzucił się jak piorunem uderzony, a potem wybuchnął:

— Ja płacę karę, ja! Dwadzieścia lat jestem w fabryce i ani grosza nie zapłaciłem kary, to nie zapłacę i dzisiaj.

— Zapłacicie, tak kazał pan Demehl.

— Pan Demehl! A to zapłacę — zawołał nagle, zrezygnowany.

— ...Pan Demehl — powtarzał cicho, wlokąc się do domu.

Kruczek czekał na niego przed bramą fabryki i szczeekał radośnie na powitanie.

— Kruczek! Pan Demehl skrzywdził twojego pana, słyszysz! Pan Demehl!

Kruczek na dźwięk nazwiska zaczął szczeekać groźnie, gonił niewidzianego, mścił się za krzywdę swojego pana. A pan Pliszka jakby zapomniał o wszystkim, bo siedział w swojej izbie pod oknem, palił fajkę i nie odzywał się do nikogo, nawet na Kruczka uwagi nie zwracał.

Robotnicy szykowali się śpiesznie do drogi, myli się pod pompą na podwórzu w mroku wieczornym, odziewali odświętnie i zapełniali mieszkanie świątecznym nastrojem; gospodyni, pani Radzikowa, i Antoś pomagali im wiązać tobołki.

— Co wieciecie, Adamie, do domu? — pytała.

— Chustkę dla matki, kaszkiet<sup>18</sup> ojcu, a dziewczuchom paciorków<sup>19</sup>...

— A wy, Pietrze?

— Obrazików<sup>20</sup> i na spódnice<sup>21</sup> matce.

— A Józef?

— Ja nic; bo to ja jadę gdzie? Mam to gdzie albo do kogo, co? — odburknął gniewnie Józef, mocno odsunął stołek i wyszedł na podwórze; do późnej nocy słychać było głos jego harmonijki... grał zapamiętałe, jakby na zagłuszenie swego sieroctwa.

A pani Radzikowa rozkładała te dary wszystkie na stole, przyglądała się im w świetle lampy i składała ostrożnie jak świętości.

— Głupie! — pomyślał pan Pliszka, gwizdnął na Kruczka i wyniósł się na podwórze do Józka.

Poczuł nagłą i złą niechęć, prawie nienawiść do tych ludzi, do ich twarzy, do ich rozradowanych uśmiechów.

Siedział pod ścianą na kamieniu i głupim, bezmyślnym wzrokiem patrzył w księżyc, co się już był wznosił ponad miasto i płynął jak ptak świetlany poprzez czarne głębie.

Duszę mu omroczył dziwny smutek roz tęsknienia, a na oczy opadł łzawy cień, uparty cień, który ustąpić nie chciał, pomimo że go pan Pliszka ścierał kułakiem<sup>22</sup>.

<sup>17</sup>ciżba — tłum, gromada, duża liczba osób. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>kaszkiet — męska sztywna czapka z daszkiem. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>dziewuchom paciorków (wiozę) (gw.) — dziewczynom paciorki. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>obraziki (gw.) — obrazki; daw. obrazki drukowane na kartonie, przeważnie bez oprawy. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>na spódnice — tu domyślnie: tkaninę na uszycie spódnicy. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>kułak — mocno zaciśnięta dłoń; pięść. [przypis edytorski]

I siedział tak długo, wpatrzony w noc miesięczną<sup>23</sup> i wsłuchany w Józkową muzykę, tylko że nic nie widział, nie słyszał i nie pamiętał.

Wieczór był cichy maja, sobotni wieczór fabrycznego miasta, odpocznienia<sup>24</sup> wieczór.

Okna gasły, ciemniały jak źrenice zmożone snem; fabryki milkły i zasypiały, ulice głuchły i zdały się przeciągać w leniwym, rozkosznym odpocznieniu; domy zanurzały się w ciemności i w ciszę, gwar ludzkich rojowisk przycichał, tylko księżyc świecił coraz jaśniej, tylko czuby drzew szeptały listkami i jakby się wznosiły w tej srebrnej mgłę, i jakby piły światło i ciszę, i ukojenie.

— Zostańcie z Bogiem! — zawołał któryś przez okno.

— A idźcie na złamanie karku! — mruknął pan Pliszka ze złością.

Ale już nie mógł usiedzieć, nie. Podniósł się i poszedł za nimi, poszedł wolno, bo jego drewniana noga zaciężyła<sup>25</sup> mu dzisiaj, poczuł w niej dziwny ból, dziwny. Stanął na drodze i patrzył za nimi.

Długo widział ich czarne sylwetki z białymi tobołkami na plecach, szli przez pola, ku kolei... dobrze widział w tym jasnym, księżycowym świetle. Tak się zapatrzył w nich, że nawet nie wiedział, kiedy mu zginęły z oczów<sup>26</sup> i przepadli w oddaleniu.

Wracał wolno, zmęczony bardzo, włókł się koło fabryki i drgnął jakby z przestachu, księżyc tak świecił z boku w okna, tak je prześwietlał na wskroś, że pan Pliszka najwyraźniej ujrzał czarne, błyszczące kontury maszyn, zdawało mu się, że stalowe kadłuby przysunęły się bliżej, że się pochylają do okien i potworne, olbrzymie łby maszyn patrzą w świat... patrzą na niego, a tak groźnie, tak strasznie i złowrogo, że się aż przeżegnał i śpiesznie powrócił na kamień, pod ścianę.

Józek wciąż grał na harmonijce, a grał coraz zapamiętalej — to walce huczące jak burza, to mazury, które były huraganami, to oberki takie, że aż harmonijka jęczała ze zmęczenia, to znowu dziwne piosenki; piosenki proste, łzawe, smutne — takie, jakie płyną po polach w jesienne noce, pełne pomiotów wichury, płaczów drzew marznących, jęków ziemi zmęczonej i szelestów suchych badyłów, a z bramy głównej odpowiadał mu głos rzewnej ligawki<sup>27</sup> pastuszej, dzisiaj pewnie wykręconej z tych wierzb<sup>28</sup>, co rosły nad fabrycznymi sadzawkami, na której grywał stróż fabryczny.

Ligawka miała dziwny głos płaczu i skargi, jakby jęk duszy tych wierzb, tych drzew tęskniących za słońcem, za wichrem, co buja po polach, jakby jęk tych drzew zatrutowanych przez dymy, duszonych przez mury, przez brak powietrza, przez te straszne odpływy fabryczne konających.

— Józek, a dałbyś spokój! Skrzypisz a skrzypisz, aż uszy bolą! — zawołał pan Pliszka rozdrażniony i powrócił do izby.

Pani Radzikowa jeszcze nie spała, wiązała z pośpiechem frędzle u chustek wełnianych, których stopy leżały na podłodze, a Antoś przy drugim końcu stołu zatkał uszy rękami i uczył się, wykuwał lekcje.

— Przestałaby pani, a to oczów szkoda!

— Muszę skończyć dzisiaj. Jutro przecież jedziemy na wieś, do mojego brata, księdza. Antoś butów nie ma, a i wpis trzeba płacić.

Pan Pliszka usiadł pod niskim kominem i raz po raz dziobał pogrzebaczem w dogasające węgle. Kruczek wyciągnął się przy nim na ziemi i spał.

Cicho było, Józkowa muzyka przez mury dopływała jak niewyraźne majaczenie, a zegar cykał monotonnie, powolnie, ciągle.

— Na długo pani pojedzie? — zapytał cicho.

— Na dwa albo i trzy dni! Chcę też skończyć chustki, to może pan Pliszka w poniedziałek odeśle je do fabryki.

— W poniedziałek święto! — rzekł krótko.

— Ale to przecież fabryka żydowska i kantor będzie otwarty.

<sup>23</sup>miesięczny (daw.) — księżycowy; *mięsiąc* (daw., poet.): księżyc. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>odpocznienie (daw.) — spoczęcie, wypoczynek. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>zaciężyć — dziś popr.: zaciążyć. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>oczów — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>ligawka — ludowy instrument dęty w formie rogu, zrobiony z dwu złączonych połówek uprzednio przeciętego wzdłuż i wydrążonego kawałka drzewa. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>wierzbiny — drzewa, krzewy wierzby. [przypis edytorski]

— Aha, dobrze.

— A pan Pliszka nigdzie na święta nie pojedzie?

— Także! Nie jestem bogacz, żebym mógł jeździć na spacerzy! — powiedział z naciśkiem, rzucił pogrzebacz i poszedł spać.

Ale nie spał, nie mógł zasnąć, w jakąś godzinę zajrzała do niego pani Radzikowa.

— Że do dnia<sup>29</sup> jedziemy, to chciałam prosić, żeby tu pan Pliszka miał oko na mieszkanie.

Nie odpowiedział, zaklął tylko po cichu i leżał jak martwy w tej dziwnej, niezrozumiałej męce, która go przenikała coraz boleśniej: była to męka tęsknoty bezcelowej jeszcze, głuchej, a tak bolesnej, tak bolesnej.

— Wszyscy jadą... wielkie państwo... balowania im potrzeba... ale... — roztarł kuliakiem ten mglisty cień, co mu znowu przyduślił oczy. — Bieda aż piszczy, a na spacerzy to pieniądze mają... Przecież gdybym chciał... gdybym chciał... — Dotknął się woreczka, który nosił na piersiach, tam miał wszystkie swoje oszczędności, składane przez lat dwadzieścia. — Zechcę, to przepiję wszystko albo dam komu... albo też pojedę... aha!... tak... i gdzie? — przesunął ręką po oczach wilgotnych. — Sam jeden człowiek jak ten... ten Kruczek... Chamy, psiakrew! Letnich mieszkań im potrzeba.

Miał już w sobie cały pożar tęsknoty i całe morze goryczy...

Nazajutrz wstał późno, tak późno, że już nie było pani Radzikowej, a jasne, wesole słońce zalewało jego izbę.

Oprzytomniał rychło i gdy sobie przypomniał dzień wczorajszy, to mu przede wszystkim przyszła na myśl kara, jaką kazał mu zapłacić pan Demehl.

— Kruczek! — zawołał ostro na psa.

Kruczek przeciągał się leniwie, ale patrzył na pana.

Pan Pliszka powiesił na drzwiach stary, poszarpany kożuch.

— Kruczek, twój pan zapłacił karę, słyszysz? Kruczek, pan Demehl! Kruczek, weź pana Demehla! Weź, huzia<sup>30</sup> go! gryź go... weź!... Nie daj swojego pana, nie daj! — krzyczał i aż zachrypl z gniewu i zawziętości, złapał kij, bił w kożuch, a Kruczek szczekał zajadle, przyskakiwał i rwał zębami, gryzł, skowyczał, rzucał się na kożuch jakby na rzeczywistego nieprzyjaciela i mścił się za krzywdę swojego pana.

— Dostyc, piesku, dostyc, jeszcze go później pogryziemy. Dostyc... pójdziemy teraz się zameldować panu kapitanowi.

Pies przywarł do ziemi ze zmęczenia, a pan Pliszka wygolił się starannie, ubrał odświętnie w jakąś starożytną czamare<sup>31</sup>, przypiął jakieś trzy ordery na pierś, wyczernił obcięte krótko nad ustami wąsy, wyświętacznił się nadzwyczajnie i wyszedł paradnym krokiem.

— Pójdziecie, panie, do kościoła? — zagadnął go Józef z drugiej izby.

— Idź sam, ja nie pójdę.

Pan Pliszka codziennie gorąco się modlił, ale do kościoła nie chodził.

— Z jezuitami nie trzymam — mawiał.

## II

Pan Pliszka szedł do swojego kapitana, który był magazynierem jednej z fabryk i mieszkał daleko, bo aż za Rynkiem Geyera<sup>32</sup>, na krańcu miasta, prawie już w polach.

Daleko to było dla jego lat i drewnianej nogi, ale szedł prędko, jakby uciekał od domu pustego, od samotności. Miał w sobie pamięć głębokiej krzywdy, którą mu wyrządzili robotnicy i pani Radzikowa, tej krzywdy, że pojechali, więc szedł jakby na skargę, na uzalenie; musiał coś wiedzieć o stanie jego duszy Kruczek, bo szedł cicho przy nodze i często podnosił mądre oczy na pana.

<sup>29</sup>do dnia (daw. gw.) — o świcie. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>huzia — okrzyk zachęcający do napaści. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>czamara — dawne męskie okrycie wierzchnie, sięgające bioder lub połowy ud, zapinane pod szyję, z długimi, wąskimi rękawami, z ozdobnymi guzikami i szamerunkiem (obszyciami z ozdobnego sznura). [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Rynek Geyera — łódzki plac przy ul. Piotrkowskiej, nazwany od pobliskiej fabryki włókienniczej Ludwika Geyera; ob. Plac im. Władysława Reymonta. [przypis edytorski]



— Dobrze! dobrze, Kruczek! — szeptał cicho pan Pliszka i maszerował bocznymi ulicami, bo nie lubił Piotrkowskiej, tam było za wiele ruchu i za wiele ludzi.

Pan kapitan był właśnie w domu, siedział przed lustrem z namydloną brodą i z brzytwą w ręku.

— Pliszka, pokornie się melduję panu kapitanowi.

— He? A... Pliszka, cóż tam?

— Wszystko w porządku.

— Ba? A, w porządku! To dobrze, mój chłopcze, dobrze. Wyczyść no mi buty i daj jeść moim smykom, co?...

Pan Pliszka z przyjemnością czyścił kapitanowe buty i karmił ptaki, które krzykiem i świegotem<sup>33</sup> zapępiały pokój, bo ich było kilkanaście klatek, porozwieszanych po ścianach.

— Ożeniłeś się, chłopcze, co? — pytał kapitan, skrobiąc twarz brzytwą.

— Nie, pokornie melduję.

— Co? A, nie, dobrze, bo w pochodzie baby na nic, rozumiesz?

— Rozumiem! — odrzekł krótko, salutując.

— Co? A, rozumiesz, dobrze.

Zaczął gwizdać pan kapitan, ostrząc na pasku brzytwę, odpowiedziały mu zaraz chóralnie ptaki i powstał taki pisk, że aż Kruczek zaszczezał w sieni.

— Psiakrew! — zaklął pan Pliszka przez zaciśnięte zęby.

— Co?... — zawołał prędko kapitan, odwracając się do niego.

— Powiedziałem: psiakrew, panie kapitanie.

— Co! A, psiakrew!

Pan kapitan popatrzył w okno, splunął i zaczął się myć.

— Gorzalki się napijesz? Hej! Magdusia, a daj no gorzalki!

Weszła zaraz Magdusia, baba jak stóg siana, a ciężka jak furgon<sup>34</sup> artyleryjski, bo aż się podłoga uginała pod nią, odmierzyła z flaszki potężny kielich gorzalki i postawiła przed panem Pliszką.

Wypił, zsalutował i chciał całować w kapitański łokieć.

— Stać w szeregu! Cicho! — krzyknął srogo pan kapitan.

Stał pan Pliszka, jak mu kazano, przez chwilę, przez krótką chwilę, bo nagle zsalutował, odwrócił się po żołniersku i wyszedł, nie mówiąc ani słowa, nie słuchając kapitańskiego wołania. Ot, coś go szarpnęło i wyrzuciło za drzwi, nie wiedział, co to było, ale był posłusznym i wyszedł śpiesznie, jakby znowu uciekał. Na Piotrkowskiej zwolnił kroku, bo zabolęła go noga. Uderzył się laską po szczudle, zniecierpliwiony był i zły.

— Po co oni pojechali? — Przyszło mu znowu to samo pytanie na myśl.

Całe dwa dni świąt miał przed sobą, dwa dni samotności.

— Trzeba używać świąta! — postanowił sobie.

I używał, chodził po ulicach, wstępował do szynków<sup>35</sup>, gapił się na ludzi, ale ani na chwilę nie mógł zapomnieć o sobie.

A miasto wrzało świąteczną radością, radością beztronski chwilowej i odpocznienia.

Słońce zalewało Łódź potokami światła i ciepła. Tak się lśniły radośnie dachy, tak błyszcząły okna, tak spokojnie nurzały się w blaskach fabryki, taka głęboka cisza leżała wśród murów i maszyn, po składach, kantorach, dziedzińcach — tylko na głównych ulicach wrzał rój ludzki, cieszył się życiem i ciepłem. Tłumy ludzkie głębokimi falami pchały się, piętrzyły, przewalały z końca w koniec Łodzi i wciąż płynęły, płynęły.

Katarynki grały po szynkach, po bocznych ulicach, przy karuzelach i w budach z osobliwościami.

Pan Pliszka poddał się tej fali ludzkiej i płynął razem z nią: poruszał się, przystawał, ruszał naprzód z tą samą ogólną bezmyślnością stada ludzkiego, spracowanego stada, które nie wie, co robić ze sobą na wolnym powietrzu, które nie umie się bawić, nie umie radować, nie umie żyć.

Radość ich była smutna i cicha, gwar rozmów przyciszony i pełny trwogi, spojrzenia tępe i załęknione, ruchy powolne i automatyczne, przystosowane do ruchów maszyn,

<sup>33</sup>świegot — to samo, co świergot. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>furgon — długi, kryty wóz transportowy. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>szynk — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

z którymi zawsze żyli; twarze jakieś szare, martwe, pochylone, karki zgięte, ramiona obwisłe, ciała spłaszczone i chude, dostosowane do ciasnoty sal fabrycznych, do kształtów maszyn, do murów, do potrzeb fabryki.

Cały ten tłum dusz — nie, nie dusz, tłum dopełniaczy maszyn, tłum mizerynych, najprostszych kółek i trybików, tłum niezłożonych mechanizmów fabrycznych tłoczył się po ulicach, pił w szynkach i bawił się na karuzelach, w menażeriach, w panoptikach<sup>36</sup>, tańczył po ciasnych salach, siedział pod domami i nie wiedział, co robić ze sobą, co robić z tą świątecznością — onieśmielony światłem, przestrzeniami wolnymi, ciszą i powstrzymywany w ruchach wewnętrznych nieświadomą zależnością od tych potworów fabryk, stojących dookoła czerwonym, potężnym wałem ciał kamiennych, uspionych tylko na chwilę, a czuwających, znikłych w odpocznieniu, a stróżujących tysiącami okien, setkami kominów, które zdawały się pochylać w blaskach słonecznych i zaglądać w ulice, w place, w zaułki, w pola, w domy — jakby pilnowały swoich niewolników i trzymały ich grozą swojego czuwania.

I pan Pliszka czuł to wszystko, nie rozumiał, ale czuł i dlatego pozwolił się porwać jakiejś gromadzie i płynął z nią aż za miasto, w pola, jakby na inny brzeg wyrzuciła go ta fala miasta, rozprysnęła się, a on pozostał nad ławicą pól pełnych zieleni, kwiatów, ciszy upajającej, świergotu ptaków.

Fala się rozprysnęła po tym zielonym brzegu, a on pozostał tylko z Kruczkiem, który ogłupiałym wzrokiem patrzył na skowronki wzbijające się w górę i na rozkołysane zboża.

Chłodny i wilgotny wiatr wiał nad polami.

Pan Pliszka patrzył długo, patrzył pogardliwie na ten zielony, rozkwiecony, rozszumiały szmat ziemi, a potem z uśmiechem politowania spostrzegł ludzi siedzących po miedzach, że im tylko głowy widać było ze zbóż.

— Głupie chamy! Kruczek, do nogi! Kruczek! — krzyczał, bo pies jakby nagle oszalał, rzucił się w zboża, gonił za jaskółkami, szczeakał na chmury, obwąchiwał tarniny kwitnące, tarzał się po bruzdach, to leciał bez pamięci po tym szumiącym, zielonym morzu, to znowu przystawał niespodziewanie i dziwnym, pomieszonym wzrokiem patrzył na żyta jakby biegnące ku niemu, aż odskakiwał i ze skowytem przywierał do ziemi, rozpląszczał się i patrzył, jak zboża ruszały się, szły... pochylały się nad nim i dzwoniły zielonymi, lśniącymi źdźbłami!... i odchodziły w drugą stronę...

— Także mi parada, nawet usiąść nie ma gdzie — szepnął pan Pliszka, zirytowany na wszystko, a szczególnie na Kruczka, odwrócił się z pogardą od pól i powracał do miasta, jak tylko mógł najspieszniej, powracał do domu.

A gdy Kruczek przyszedł, był już gęsty mrok, pan Pliszka wybuchnął i zbił go srodze.

— To ja sam tu będę siedział, co! Ty chamie, ty parobku głupi, to i tobie także wieś pachnie, co! — krzyczał strasznie, ale że pies się nie bronił, tylko jakby jęczał z bólu i tak patrzył żałośnie, tak żałośnie skomlał i lizał jego ręce, więc pan Pliszka ochłonął prędko, porwał Kruczka na ręce i rozplakał się pewnie pierwszy raz w życiu.

— Cicho, Kruczek! Widzisz... twój pan!... widzisz... sam... sam...

Nie, nie mógł już mówić więcej pan Pliszka...

Ale cały długi wieczór modlił się żarliwie.

Niewesoły miał pierwszy dzień Świąt Zielonych pan Pliszka, nie.

Na drugi dzień już nie mógł dać sobie rady, tak mu pusto i źle było w domu, tak samotnie na ulicach, tak głupio w szynkach i tak tęskno, tak strasznie tęskno za czymś, że już na godziny prawie obliczał czas dzielący go od powrotu tych „głupich chamów”.

Po południu, że już wytrzymać nie mógł, poszedł do fabryki. Włączył się po salach pustych i cichych, pogrążonych we śnie. Maszyny spały; obwisłe, nieczynne pasy i koła wisiały bezwładnie, pogrążone w głębokiej, dziwnej zadumie; potworne, dziwaczne korpusy maszyn, stalowe łby i ręce — szarzały tajemniczo w świetle słońca; stopy kolorowych towarów leżały spiętrzone po salach. Kurytarze<sup>37</sup> były ciche, kotłownie nieme i wygasłe — ale wszędzie, na każdym kroku, w każdym załomie maszyn, czuć było straszną siłę, powstrzymaną tylko, skupioną, jakby przyczajoną na chwilę... Jakieś drzenie ledwie wyczuwalne, jakieś szelesty, jakieś głębokie, ciche głosy chodziły po salach, przepływały

<sup>36</sup>panoptikum — wystawa osobliwości, także figur woskowych. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>kurytarz — dziś popr.: korytarz. [przypis edytorski]

wskróś<sup>38</sup> maszyn i murów... Czasem nit jakiś trzaskał, czasem pas zsunął niżej, jakaś śruba zaskrzypiała, jakaś blacha drgnęła, jakiś tryb zgrzytnął, jakiś warsztat się poruszył, jakieś szyby zabrzęczały cicho — a potem znowu panowała cisza, straszna cisza spracowanych maszyn, odpoczywających metali...

Pan Pliszka bał się już chodzić po salach, trwoga chwyciła go za gardło, a ten majestat odpoczywających maszyn obezwładniał go i hipnotyzował. Skurczył się pod jakimś oknem i siedział nieruchomy, martwy, ponury, odmawiał bezwiednie pacierze i lękliwie spoglądał po sali, po sufitach i oknach, bo się bał patrzeć na maszyny, czuł, że one patrzą na niego, że go widzą, iż jest tutaj, te dziwne błyski polerowanej pracą stali, te błyski spojrzeń prawie, przenikały go zimnem i trwogą, a te spojrzenia były wszędzie, wydobywały się ze zwoju sztab i belek, i blach, i kół, i ram, i trybów — i przepelniały sale dziwnym światłem przerażającym duszę ludzką, światłem innego świata, światłem potęgi złej i nieubłaganej.

Ale mimo wszystko było tutaj panu Pliszce lepiej niżli w domu, bo tutaj nie czuł siebie, nie czuł ciężaru własnej duszy, nie tęsknił, przywarł jak pies do nóg odpoczywających potworów i chociaż w trwodze, czuł się przy nich spokojnym, bo nie był pozostawiony samemu sobie.

Dopiero późnym wieczorem przywłókł się pan Pliszka do domu.

Pani Radzikowa już powróciła, przywitała pana Pliszkę z radością, częstowała różnymi smakołykami przywiezionymi ze wsi i opowiadała z entuzjazmem, jak tam u brata księdza jest pięknie, jak to jabłunki są już w kwiatkach; jakie już mają młode kartofle, jakie masło tanie a dobre, jak młodym gęsiom dają siekane jajka, żeby prędzej rosły, jak młode prosięta piją czyste, niezberane mleko; z zachwytem najszczerzym pokazywała księżą sutannę i wielkie buty z cholewami; dał to Antosowi, trochę to za duże na chłopca, ale Bóg mu i za to zapłać; dał i futro dla niej, wprawdzie wierzch zatłuszczony i podarty, a futro dawno mole zjadły... ale zawsze... zawsze pocziwy on, szlachetny i dobry człowiek!... I płakała z rozczulenia, płakała z radości, że są jeszcze ludzie dobrzy, bo cóż, że ona biedna, że krwawą pracą utrzymuje siebie i syna, ale ma brata księdza, który i pieniądze ma, i konie piękne, i poważanie u ludzi takich bogatych, u dziedziców, że gdy przyjechali na obiad wczoraj, to nie śmiała zasiąść, wołała z Antosiem jeść w kuchni, bo dosyć miała i tak uciechy, że brat z nimi siedzi jak równy z równymi!

I opowiadała, opowiadała upojona wycieczką, opalona na wietrze, pełna słońca, pełna życia, wiary, nadziei, którą przywiozła stamtąd... z pól, z łąk, z lasów.

A potem opowiadał Antoś i miał serce pełne radości, a oczy pełne łez, zachwyty i szczerości.

— O, jak tylko dorosnę, to zabiorę mamę i pojedziemy na wieś, tam będziemy żyć, bo tam jest tylko dobrze! tam! — wołał rozentuzjasmowany i podnosząc oczy opowiadał jedno i to samo, aż go matka musiała wypędzać spać, bo byłby opowiadał noc całą.

A pan Pliszka słuchał uważnie, ale nie rzekł ani słowa... „Bo tam, na wsi, jest tylko dobrze, tam!” — powtarzał w duszy słowa Antosia i dziwnie się uśmiechał, dziwnie.

A późnym wieczorem, bo już przed samą północą, powrócili robotnicy. Powrócili jak burza wiosenna, pełni wesela i uciechy i napełnili izdebki gwarem radości. Szczęście było im z opalonych twarzy. Pokładli się zaraz, ale gadali długo, wspominali, śmiali się. Adam miał spuchniętą twarz, nic to jednak, to tylko w karczmie na zabawie trochę się pobił, musiał przecież się „pobarować”... Hej! hej! jeszcze siły ma! Jeszcze go ta Łódź nie zżarła! Niech tylko powróci do ojców, posiedzi ze dwie niedziele, to zobaczą...

— Spalibyście! Pyskują i pyskują, a człowiek usnąć nie może — huknął na nich pan Pliszka i ostro zatrzaskał drzwiami.

Co go to obchodziło.

— Sprali mu pysk, a to bydlę jeszcze się cieszy. Chamy! chamy! parobasy! Zobaczyli krowie ogony i cieszą się — myślał pan Pliszka z taką wściekłością, że chciało mu się sprać Kruczka, ale nie sprął, siedział do świtu na łóżku i odmawiał różaniec żarliwie, i z uporem odpędzał od siebie tęsknotę, ból, niepokój, mękę, jaką mu sprawiło to przypomnienie wsi.

— Żeby to najjaśniejsze spaliły! Człowiek pracuje jak wół, a jeszcze spokoju nie ma! — zaklął rano, ale sam nie wiedział, pod jakim adresem.

<sup>38</sup>wskróś — dziś popr.: wskroś. [przypis edytorski]

Tylko jakby się mścił na windzie, bo tak przystawał ostro, że uderzała z jękiem o progi pięter.

Nie chciał ich pytać o nic. Ale gdy spotkał raz i drugi, nie wytrzymał i rzucił szorstko i lękliwie:

— Cóż, trafiliście do domu?

Spojrzeni zdumieni — jakżeby można nie trafić do domu?

— Prawda, przecież to zaraz ze szosy<sup>39</sup> na lewo, między topolami!...

— Topole — oho! — już je dawno dziedzić wyciąć kazali...

— Nie ma topoli — jęknęło mu serce i mówił śpieszniej: — ...a potem koło kapliczki cmentarz.

— Kapliczki? Jeszczem bydło pasał, jak ją rozebrali...

— ...a potem przez groblę<sup>40</sup>, koło karczmy i już wieś...

— A juści! Ino<sup>41</sup> że ani grobli, ani karczmy już nie ma...

Nie pytał się już więcej.

— Topole, kapliczka, karczma, grobla... nie ma, dlaczego nie ma?... Nie ma... są — pamięta dobrze, widzi teraz. — Nie...

I cały tydzień, cały długi tydzień nie mówił z nimi, nie pytał, a tylko żył przypominaniem sobie topoli, karczmy, grobli, kapliczki.

Dopiero w sobotę po robocie przysiadł się do nich i zapytał:

— Dobrze wam było?

— O Jezu, ino do świętego Jana robił będę, a potem to niechta<sup>42</sup> morówka<sup>43</sup> weźmie to miasteczko Łódź i te fabryki — wykrzyknął Józef.

Pan Pliszka uśmiechnął się z politowaniem.

— Komornik<sup>44</sup> na wsi, to większy pan na co dzień niżli człowiek fabryczny w niedzielę...

— Głupstwa pleciecie, Adamie! — powiedział pan Pliszka, ale mimo to przyniósł wódki, częstował ich i zmuszał do opowiadania o każdej drodze, o każdym drzewie, o polach, o lasach — o wszystkim... I tak się zapalał, tak się interesował tym życiem wsi, że Adam mu rzekł w końcu:

— A bo to pan Pliszka nie może rzucić fabryki! Kupicie sobie gruntu między swoimi i gospodarzem będziecie, a nie takim parobkiem przy fabryce, jak my wszystkie.

Pan Pliszka zirytował się tym projektem tak silnie, że nawymyślał im od głupich chamów i poszedł spać.

Obudził się w nocy, usiadł na łóżku i myślał:

— Wrócić albo co! A może tam kto z moich żyje jeszcze?

Nie spał już tej nocy pan Pliszka, nie spał i nocy następnych... A dni przechodziły nieubłaganą kolejną i przepadały nieubłaganie.

...Były wiosenne, rozśpiewane, przesłonecznione, czarowne.

Pan Pliszka płakał w męce.

...Były zadeszczone, szare, smutne, długie jak żal...

Pan Pliszka płakał z tęsknoty.

...Były zimne, zmęczone i smutne jak maszyny spracowane.

Pan Pliszka!... Ach, pan Pliszka się modlił...

...A noce były jak krzyki tęsknoty.

...A wieczory były jak ciężkie marzenia konających.

...A poranki przychodziły ciche, łzawe, zrozpaczone — a pan Pliszka już nie płakał, już się nie modlił, tylko patrzył w świat — tam!

Ale pan Pliszka odejść nie mógł, bał się fabryki!...

Tak, pan Pliszka bał się fabryki.

Nie mógł się na nic zdecydować, nie śmiał, a przy tym trzymał go jeszcze dziwny lęk.

<sup>39</sup>ze szosy — dziś: z szosy. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>grobla — wał ziemny utrzymujący wodę w sztucznych zbiornikach wodnych, takich jak stawy i kanały; grzbietem grobli często wiodły drogi. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>niechta (gw.) — niech tam, niechaj. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>morówka — mór, śmiertelna choroba. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>komornik — chłop nieposiadający gospodarstwa ani domu, oplacający własną pracą swój pobyt w domu innego, bogatszego chłopca a właściciela ziemskiego. [przypis edytorski]

— Cóż bym tam robił? — zapytywał siebie po tysiąc razy i coraz częściej nocami widziano go zapatrzonym w pole i niebo, ale i coraz częściej nocami siadał przed domem i patrzył na fabrykę, na ciemne kontury murów, co jak zmora dusząca przywarły do ziemi, objęły sobą i ssały nieubłaganie; coraz częściej pan Pliszka czuł w sobie ruch tych sal nieskończonych, ten gziełk maszyn, te wiry sił i coraz słabszym się czuł, coraz niedołączniejszym, coraz pokorniejszym wzrokiem patrzył na żelazne profile... coraz pokorniejszym... aż pewnej niedzieli, po całych tygodniach tej męki niewypowiedzianej, gwizdnął na psa i poszedł za miasto, daleko, daleko, w pola czyste... tam, gdzie już nie było fabryk, a tylko dachy słomianych domów wychylały się ze zbóż wykłoszonych, gdzie drzewa nie konały zatrute odpływami fabryk, gdzie zboża jak woda falowały w blaskach słońca, tam gdzie łany, niby barchan<sup>45</sup> zielony nakrapiany żółtymi ognichami<sup>46</sup>, rozlewały się jak morze, gdzie wiatr pieszczotliwy, miękki, gził się swawolnie i targał zielone brody wierzb pochylonych, i rozdmuchiwał przekornie czuprynę płowego<sup>47</sup> żyta — tam, na wieś prawdziwą... Pan Pliszka się cofnął, uderzył go niemile wiatr, powrócił do jakiegoś podmiejskiego szynku, wypił kieliszek wódki, posiedział i poszedł znowu w pole....

Wieś

Nie krzyczał już pan Pliszka na Kruczka, nie zabraniał mu szaleć, nie czuł już pogardy do ludzi łąjących po miedzach i drózkach... przeniknęła go głęboka cisza majowego popołudnia.

Usiadł nad jakimś rowem pełnym wody, po której skakały żaby, pełnym żółtych kwiatów, pełnym traw i krzaków olszyn, pełnym robaków pełzających po liściach i ziemi, pełnym dziwnego, cudownego życia...

Natura

Pan Pliszka zdjął czapkę, było mu bardzo gorąco.

Skowronki jakby pijane wiosną śpiewały nad nim, a tam w puszczech żytnich ćwierkały kuropatwy, zwoływały się, woda tak dziwnie, tak słodko szumiała. Słońce przypiekało, aż żaby wychylały swoje okrągłe oczy spod wody i nukały głucho, monotonnie... sennie... a ze wszystkich stron płynął szum, chrzęst; płynęła słodka muzyka chrząszczyków, przepiórek, płynęły ciepłe, upajające zapachy macierzanki, ziemi rozgrzanej, zapachy złotego słońca...

Panu Pliszce zaczęło się w głowie kręcić.

Ale siedział i patrzył, i słuchał, i czuł, i brał coraz potężniej w siebie emanacje tej wiosny i tych pól.

— Jezus mój najśłodszy! — szepnął bezwiednie i zaczął szukać po kieszeniach chustki. — Jezus mój, Jezus! — powtarzał i szukał wciąż chustki, a łzy ciężkie, jak ziarna pełne, całym różańcem spływały mu po twarzy; nie wiedział o tym, nie wiedział już nic, tęsknota szeroka jak te pola objęła mu serce i szarpała boleśnie, nie do wytrzymania!

— Panie! panie!... co to wam?

Wzdrygnął się, Józef siedział obok niego z harmonijką.

— A tobie, chamie, co do tego! — krzyknął i chciał się porwać i iść; nie miał sił, pozostał.

A Józef odsunął się nieco i zapatrzony w obłoki, co jak białe gołębie krążyły po błękitach, grał zapamiętane.

A dusza pana Pliszki uległa już zupełnie.

Wieczór nadchodził, dzwony kościelne biły ponieszporne<sup>48</sup> hymny, głos leciał po zbożach i trawach, że aż drgały źdźbła i ptaki milkły. Ziemia okrywała się rosą, przysłaniała się ciszą i mrokiem... cichła. Słońce kładło się za lasy, zboża się pochylały jakby w zadumaniu... szmer wody przycichł, wiatr uwiązł w lasach, wieczór nadchodził...

— Noga mnie tak bolała, że wytrzymać nie mogłem — tłumaczył pan Pliszka, gdy powracali do domu.

— Pójdę, dosyć mam tego, pójdę! — powiedział sobie stanowczo.

Ale rano w fabryce nie śmiał już tego powtórzyć, czuł wyraźnie dzisiaj, że fabryka go nie puści, że te bydłeta żelazne patrzą na niego groźnie, że te mury...

<sup>45</sup>barchan — półksiężycowata wydma. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>ognicha — gorczyca polna, chwast o żółtych kwiatach rosnący na gliniastych polach i ugorach. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>płowy — żółtawy o szarym odcieniu. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>nieszpory (z łac. *vespera*: wieczór) — wieczorne nabożeństwo w kościołach chrześcijańskich, tradycyjnie odprawiane o zachodzie słońca. [przypis edytorski]

Nie, nie puści...

A tymczasem nocami, w marzeniu już był tam, u swoich; już chodzi po chatach panów braci, wita się, raduje, odnajduje wszystkich i jest mu tak dobrze, tak strasznie dobrze.

O, dosyć mu tej męki, dosyć.

— Jutro pójdę, żeby nie wiem co, pójdę — powiedział.

I przyszło w końcu to jutro, pan Pliszka czekał wieczoru, nie miał odwagi odchodzić w dzień.

Nie zwierzył się z tym planem nikomu.

I w nocy, gdy już w izbach wszyscy spali, wstał po cichu z łóżka, spakował w tłumok<sup>49</sup> rzeczy i czekał tylko świtu, bo pociąg odchodził rano.

Kruczek niespokojnie obwąchiwał tłumok i patrzył mu w oczy.

— W świat pójdziemy, do swoich, w świat! — powiedział mu cicho.

Pan Pliszka siedział w oknie pomiędzy rozkwitłymi fuksjami, czekał świtu, a patrzył na fabrykę, która olbrzymią, czarną plamą leżała w szarej, smutnej nocy.

Deszcz mżył drobny i ciepły.

— Jutro już tam będę! — myślał pan Pliszka i serce zrywało mu się z szalonej radości.

Cień fabryk jakby zolbrzymiał i jakby pękł, i rozlewał się szeroko — na świat cały.

Pana Pliszkę noga zaczęła boleć dokuczliwie.

Przymknął oczy, bo kominy fabryki wychyliły się z ciemności i były tak blisko, tuż nad nim, jakby się pochylały... jakby chciały go chwycić.

— Winda!

Drgnął gwałtownie, ten krzyk rozległ się w nim, a jemu wyraźnie się zdawało, że to z fabryki głos dochodzi.

— Nie dam się, nie. — Wyskoczył przez okno, zarzucił tłumok na plecy i ruszył drogą.

Ale musiał przechodzić wzdłuż całej fabryki.

— Winda!

— Jezus, Maria! — Przycisnął się do parkanu i z przerażeniem patrzył na czarne, straszne okna fabryczne.

Wydało mu się, że te okna czuwają, że tam w ich głębi widzi całą ciżbę poskręcanych, potwornych maszyn, że wszystkie się skłębiły i patrzą na niego.

Cisza była śmiertelna, deszcz sływał sznurami drobnych paciorków i szeleścił ledwie dosłyszalnie wśród liści.

Bieleło już nieco, wyraźnie, coraz wyraźniej spostrzegał fabryki; wszędzie stały, ze wszystkich stron wyrastały, czaiły się w zmrokach, a zagradzały drogę... Szara, deszczowa kurzawa oblewała je jeszcze i mroki przysłaniały, ale one rosły w tym świtanie ponurym, potężniały, podnosiły szyje coraz wyżej... coraz groźniej!

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Ruszył galopem prawie, przebiegł z zamkniętymi oczami obok fabryki i odetchnął aż po polach pod lasem, który mu zagroził drogę, a że czuł się strasznie zmęczony, usiadł na jakimś zagonie i odpoczywał.

Był już kawał drogi od domu, ale fabrykę widział dobrze.

Było już coraz jaśniej.

Zerwał się, gdzieś daleko na drugim końcu miasta zadrgał świst fabryczny.

Pan Pliszka porwał się i wszedł śpiesznie w las.

A świsty szły za nim jak psy i gryzły go w samo serce... o, jeden... drugi... dziesiąty, co chwila, co sekunda, co mgnienie wołały przenikliwie głosy fabryk!

Obejrzał się, w deszczowych mgłach już się jarzyły elektryczne słońca i wykwiwały nad miastem.

— Jezusie najśłodszy! Jezusie! — bełkotał przerażony.

Przyśpieszał kroku, chciał uciec, za wszelką cenę chciał uciec, ale te głosy biegły za nim, huczały w lesie, przedzierały się przez gęstwę drzew, przez mgły, przez oddalenie i znajdowały go, i biły w jego duszę, przenikały ją strachem, skowyttem dzikim buntu i rozpaczy.

<sup>49</sup>tłumok — zawiniątko, nieforemny pakunek. [przypis edytorski]

Naraz i potężny głos jego fabryki rozdarł bolesnym dźwiękiem powietrze, ach, tak znał ten głos, tak znał!

Staął, przestał oddychać, przestał wiedzieć i pamiętać... a fabryka wołała go potężnym głosem gniewu:

— Wróć! wróć! wróć!

W pół godziny później stał znowu na swojej windzie.

— Winda, blich<sup>50!</sup>

— Winda, suszarnia!

— Winda, apretura!

Huczła komenda w tej głębokiej studni, a pan Pliszka, cichy, cichszy niż zwykle i bardziej pokorny, jeździł jak zwykle równo, spokojnie, automatycznie.

Czasami tylko, gdy myślał o tych dniach buntów, płakał — ale płakał cicho, bał się, aby maszyny nie słyszały tej skargi.

---

<sup>50</sup>*bllich* — miejsce, w którym bieli się tkaniny. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pewnego-dnia>

Tekst opracowany na podstawie:

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Wołk, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0799-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).